

E.605.797/14

8297

TEATRZYK WILEŃSKI Nr. 14.

MARJA REUTTÓWNA.

WICEK-NIECNOTA

OBRAZEK SCENICZNY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ
W 2 ODSŁONACH.

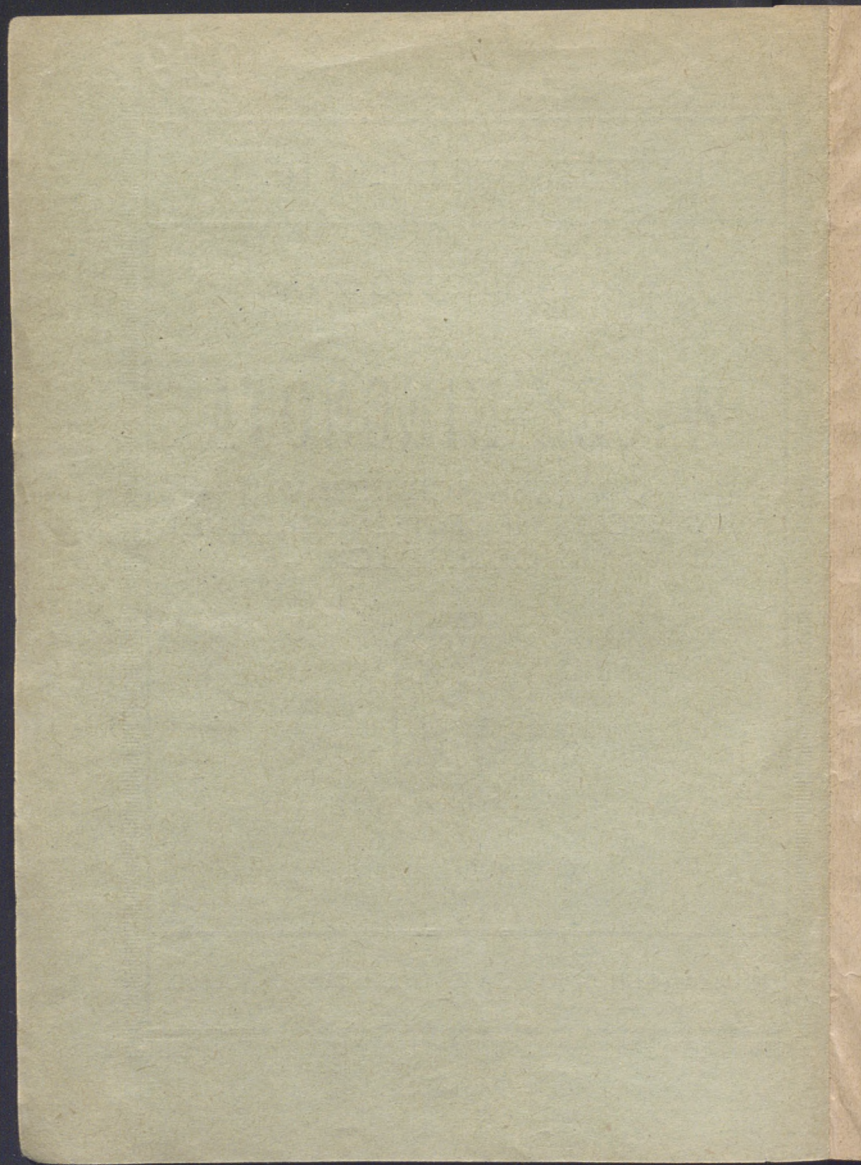


WYDANIE DRUGIE.

NAKŁAD I DRUK JÓZEFA ZAWADZKIEGO WILNIE.

Marja

Reuttówna



1

MARJA REUTTÓWNA



WICEK-NIECNOTA

OBRAZEK SCENICZNY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ
W 2-ch ODSŁONACH.

WYDANIE DRUGIE.



NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.

I, 605.797/
114

OSOBY:

WICEK ŻALIŃSKI, lat 14.

MAŁGORZATA, jego ciotka.

JÓZEK

STEFEK

OLEK

GRZEŚ

ZOŚKA

JULKA

GENIA

} Dzieci szkolne lat 12—8.

NAUCZYCIELKA

MARCYSIA, matka Olka.

WALENTOWA, gospodyni.

KAZIMIERZ SURÓWKA, lat 20.

JĘDREK, stróż szkolny.

BÓBKOWA, żebraczka.

CHAIMEK, uczeń szkoły powszechnej w sąsiedniej wsi, lat 12.

Gospodarze i gospodynie, dzieci szkolne.

Rzecz dzieje się we wsi Stachy, w Ziemi Wileńskiej.

ODSŁONA I.

Scena I.

Izba w chacie Wicka, duża, obszerna, czysto utrzymana, stół przykryty obrusem domowej roboty, ławy, stolki; obrazy święte i portret Kościuszki na wybielonych czysto ścianach. W głębi łóżko czysto posłane, piec i przy nim na półce różne statki. Na oknach kwiaty w doniczkach, zielone gałązki choiny za obrazami. Z boku pod oknem niewielki stolik, na nim porządnie ułożone książki i zeszyty, w kącie przy łóżku duża skrzynia.

MAŁGORZATA (sama, krząta się po izbie, zmiata okruszki, zasuwa piec, nakrywa garnki, rozmawiając ze sobą).

No, już i wszystko w porządku, za chwilę zadzwonią na nieszpory, byle Wicek wrócił to już będę mogła iść. Na wieczerzę są kluski, już okraszone, to się je tylko przygrzeje i tyle. Gdzież się ten chłopak zapodział?

Scena II.

MAŁGORZATA i WALENTOWA.

WALENTOWA (wchodząc).

Pochwalony. A idziecież na nieszpór? Już kościelny poszedł.

MAŁGORZATA.

Idę, idę, czekam tylko na Wicka.

WALENTOWA.

Na Wicka Nlecnotę... (śmieje się).

MAŁGORZATA.

Tylko bez przezwiska, proszę bardzo. Co wam ten chłopak zrobił, że go śmiecie tak przezywać?

WALENTOWA (wzruszając ramionami).

Ja go tak nie przezwała, a że po całej wsi go tak wołają, to już nie moja wina.

MAŁGORZATA.

Wstydziłiby się ludzie, tak sierotę poniewierać, co on komu zrobił złego? Chłopak jak się patrzy, uczy się pilnie, sama nauczycielka jego chwali, w domu też nie jedno zrobi, tak jak stary. Nie łże, nie rozbija się jak inne chłopcy, cudzego nie tknie i ot, przezwali go Niecnotą.

WALENTOWA.

Musić taki na to i zasłużył, bez racji by tak nie wołano. Nie wezmie cudzego, bo swego ma dość, nie rozbija się, a taki umie, oj umie, ludziom dokuczyć...

MAŁGORZATA.

Powiedzcież raz, co on wam zrobił już tak złego.

WALENTOWA.

Ojże, długo by było tego gadania. I wy byście inaczej gadali, gdybyście jego chleba nie jedli. Żeby to był biedny sierota, tobyście jemu tak nie folgowali, ale bogacz, przytuliliście się przy nim, to i jakże wam co na niego gadać.

MAŁGORZATA (z pasją).

A wy tu co zmyślacie? bogacz przytulił to i nijak na niego gadać. Co wam do mojego ubóstwa i do Wickowego bogactwa. Was zazdrość źre, że sierota ma chałupę jak się widzi, że on głodem nie mrze to i na niego pyskujecie, i mnie do oczu rzucacie, żem biedna. A co to ja, dziadówka, żebraczka, żeby mnie Wicek przytulał, z łaski u niego chleba nie jem.

Scena III.

TEŻ i WICEK.

WICEK (wchodząc).

A co się wam ciotko zrobiło, co tak krzyczycie, o pół wiorsty was słychać.

MAŁGORZATA.

To i dobrze, że słychać, jak komu trza do rozumu trafić, to już szeptem nie powiesz. Dobrze żeś wrócił, chcę iść do kościoła, nijak było chatę zostawiać otworem.

WICEK (podchodząc do stolika z książkami).
To idźcie, bo już dzwonił, ja będę się uczył.

MAŁGORZATA.

Oj! już przedzwonili mówisz Wicek na Boga
a cóż ty masz na sobie? (podchodzi do niego i załamuje
ręce). Chłopcze, bój się Boga, a gdzież twoja kurtka?

WICEK (trochę zakłopotany),

A gdzież ma być, toć-że na mnie. Patrzcie, jak
ludzie idą do kościoła (pokazuje przez okno).

MAŁGORZATA (z gniewem).

Już mię tylko nie zagaduj, gadaj mi zaraz coś
zrobił ze swą kurtką. Skąd ta wyłożona, żydowska
watówka? Gadajże raz.

(Walentowa przez cały czas stoi z boku i uśmiecha się złośliwie).

WICEK.

Długo by tego gadania było. Idźcie ciotucho na
nieszpór, bo i tak się spóźnicie.

MAŁGORZATA.

Nie twój interes, czy się spóźnię, czy nie. Ty
mi gadaj, kto cię tak ubrał?

WICEK.

A to już powiem... Krasnoludki...

MAŁGORZATA.

Kto taki?...

WICEK.

Mówię wam, że Krasnoludki, ot takie małuśkie, tycie, tyciusieńkie ludki, co to wiecie: w lasach, w wodzie i w ziemi głęboko żyją, no i takie to psotne, że aż ha.

WALENTOWA.

Ot, bajki plecie.

MAŁGORZATA (jak wyżej).

Co ty mi głowę zawracasz, jakiemiś ludkami głupiami, myślisz, taka głupia, to i uwierzy.

WICEK.

Toście wy nigdy Krasnoludków nie widzieli? nam pani nauczycielka w szkole opowiadała o Krasnoludkach i Marysi sierotce, i jam też myślał, że to taka bajka. A ot, widzicie, poszedłem trochę w las, naźbierałem jagód i ździebko położyłem się na mchu. Tylkom oczy zmrużył, a tu jak się wysypią na mnie te małe ludki, jak myszy małe, szare, ten na głowę hyc, ten na rękę, ten na nogi, w minutę zdarli ze mnie kurtkę i gdzieś ją ponieśli, chciałem ich gonić, porwałem się na nogi, ale zaraz do kreciej nory to wskoczyło i tyło, patrzę, a tu koło mnie leży ot ta watówka, com miał robić, włożyłem i przyszedłem. A wy jeszcze na mnie...

MAŁGORZATA (kiwając głową).

Wicku, Wicku i ty myślisz, że ja w bajki uwierzę. Nie wstyd to ci tak łągać, obraza Boska. Niecnoto jakiś.

WALENTOWA.

No, już ja idę na nieszpór.

MAŁGORZATA.

I ja z wami. A ten niecnota tu znowu jaką bajkę zmyśli. (Wychodzą).

Scena IV.

WICEK sam.

WICEK (siada przy stole, rozkłada książkę i mówi głośno).

Niecnota i niecnota, niech tam, ale toby dopiero była bieda, gdy się ciotka dowiedziała, com z tamtą kurtką zrobił, pfuj, ale ta watówka, to naprawdę śmierdzi. Muszę ją zrzucić. (idzie do skrzyni, otwiera, wyjmuje płócienną kurtkę, zdejmuje swoją i wkłada tamtą). No a co z tym zrobić, jakbym do skrzyni, taką elegancką kurtkę schować, dopiero byłby krzyk. Wsunę ją za piec, a jutro odniosę krasnoludkom. (zamyka skrzynię), no a teraz do roboty, bo nic z tego.

Scena V.

WICEK i BOBKOWA (w łachmanach z dwoma torbami na ramionach).

BOBKOWA (otwiera nieśmiało drzwi i wsuwa głowę).
Pochwalony.

WICEK.

Na wieki, a to wy babulu, skąd to Pan Bóg prowadzi?

BOBKOWA (pokornie).

Ot jak zwyczajnie, idę światem, od wsi do wsi, od chałupy do chałupy. Mój dobry chłopczyku, pozwól mi tu wejść i spocząć troszkę.

WICEK.

Proszę, proszę, siadajcie. (Bobkowa wchodzi siada podle drzwi).

BOBKOWA.

Jak mi się widzi, toś ty chyba chłopcze Żaliński Wicek musisz być?

WICEK.

A no tak, nie pomyliliście się babulu, ale ja was nie znam.

BOBKOWA.

Boś ty jeszcze młodzik, to skąd ci znać, wszystkie stare żebraczki. A no toś ty chłopcze sierota bez matki i ojca.

WICEK.

Tak jak mówicie. Już dwa roki jak tu ostatnio byli bolszewicy, to tatulo poszli do wojska polskiego i tamci go zabili.

BOBKOWA.

A z kimże ty tu siedzisz chłopcze? bo w chałupie czysto, oprzątnięto, jakby tu była co się wie gospodyni.

WICEK.

A bo i jest. Ojcowa siostra Małgorzata, jeszcze przy tatulu tu żyli, a teraz ot mnie matkujom.

BOBKOWA (kiwając głową).

Ojcowa siostra, to twoja niby ciotka Wiceczku, to zawdy masz w niej opiekę. Bóg łaskaw na sierotę, bo choć bogactwa ty chyba masz dość, bo tatulo był gospodarzem dobrym, ale ciężko by ci było biedaku bez ojców. Matula twoja to była dopiero kobieta. Świeć Panie Boże nad jej duszą, toż ona była moją dobrodziką. I tyś się w nią udał chłopcze.

WICEK.

Toście babulu znali moją mamę.

BOBKOWA.

Znałam ci ją, znałam i póki ona żyła, to zawsze o Bobkowej pamiętała. Czasem w zimie i tydzień w chałupie przetrzyma i nakarmi i opatrzy. Zato jak umarła, to tak jak po rodzonej płakałam i teraz wieczne odpocznienie codziennie za nią mówię. Oj dobra była i sprawiedliwa twoja matka Wiceczku.

WICEK.

Babulu, a może wy i teraz głodni?

BOBKOWA.

Głód chłopcze, to mój brat, a bieda siostra rodzona. Patrz same strzępy na starej, (pokazuje podartą odzież) a no co robić, dawniej nie było takiej drożyzny, to ten, to drugi coś ci dał, a teraz każdy łachman ludzie sobie chowają i żebracze nie ma co dać.

WICEK. (przegląda garnki).

Aha patrzcie są tu kluski, podjedzcież sobie babu! (wykłada kluski na miskę, bierze łyżkę i stawia jądo na stole). Podejdźcie tu proszę, będzie wam wygodniej.

BOBKOWA.

Oj synku ty, synku kochany, dajże ci Boże zdrowie, żeś się nad moją biedą użalił. (Siada przy stole zajada).

WICEK (na stronie do siebie).

No chyba mam prawo do tej watówki, skorośmy się zamienili z tamtym.

BOBKOWA.

Ot podjadłam jak grafini, dawnom takich klusek nie jadła. Już nawet wszystkiego zjeść nie mogę. Pozwólże Wiceczku, że to ze sobą zabiorę, do torby.

WICEK.

Proszę, proszę bierzcie, a może i chleba wam dać, (dostaje z półki z pod ręcznika, pół bochenka chleba), bierzcie proszę. I ot może się wam ta stara kurtka przyda, stara, ale ciepła.

BOBKOWA.

Wieczku, chłopcze drogi, niechże ci Bóg za wszystko zapłaci, za tę twoją dobroć i litość, (chowa chleb i kluski do jednej sakwy, do drugiej kurtkę i wstaje). Pójdę już i modlić się za ciebie będę rano i wieczór.

WICEK.

Pomódlcie się babulu, za duszę ojców moich.

BOBKOWA.

Wiecznie się modlić będę. (Wychodzi).

WICEK odstawia misę na miejsce i idzie do stolika pod oknem.

Trzeba się uczyć. (Siada i rozkłada książki).

Scena VI.

WICEK, JÓZEK, ZOSIA, STEFEK, GRZEŚ i GENIA.

JÓZEK (wsuwając głowę przez uchylone drzwi).

Wicku, Wicku jesteś sam?

WICEK (odwracając się do drzwi).

A z kim mam być?

JÓZEK (jak wyżej).

Ciotki niema?

WICEK.

Poszła na nieszpór.

JÓZEK, STEFEK, GRZEŚ, ZOŚKA i GENIA (wbiegają
do izby).

Doskonale. Wicusiu kochany, najlepszy, poradź
tu nam.

WICEK (wstając).

Cóż tam znowu?

STEFEK.

A bo widzisz nasza pani nauczycielka...

GRZEŚ (przerywa).

Tak trudno tłumaczy...

JÓZEK (jak wyżej).

Jeszcze czytać i pisać, to nic...

ZOŚKA (jak wyżej).

Ale z rachunków to nic, a nic pojąć nie mogę.

GENIA (z płaczem).

Tatulo mówił, że mam taką tępą głowę, jak głąb
kapuściany.



WICEK.

Ja was nic nie rozumiem, Józek niech powie jeden, czegoście tu przyszli.

JÓZEK (drapiąc się w głowę).

A no tyś od nas starszy i nauczycielka mówi, że ty najlepiej rozumiesz, to ty nam tę arytmetykę wytłómacz, bo ani ja, ani Stefek, ani Grześ ani w ząb nie rozumiemy co tam stoi, a dziewczyny to te, tylko płaczą.

WICEK.

Przecie pani nam tłumaczyła.

STEFEK.

No to tak, i zdało mi się, że już umiem, a tu ani w ząb zrobić.

WICEK.

Pokażcie swoje zadania.

GRZEŚ (podając książkę).

Ot tu na stronicy 104, co to zaznaczono czerwonym ołówkiem.

WICEK (otwiera książkę i czyta głośno).

Funt soli kosztuje 3 grosze, ile soli można kupić za 21 groszy, ile za 36 i ile za 45 groszy.

STEFEK.

Jak że ja to mogę zgadnąć?

WICEK (śmiejąc się).

Tego Stefku nie zgaduj, a pomyśl tylko dobrze, to i zrozumiesz. A ty Józek?

JÓZEK.

Nijak nie mogę, już ja nad tem męczył się całą godzinę, i ani rusz.

WICEK.

Jakże wam tu wytłumaczyć, żeby to w szkole, tobym na tablicy zrobił, a tu... Aha, już wiem. Słuchajcie.

WSZYSCY RAZEM

Słuchamy, słuchamy.

WICEK.

Żeby wiedzieć ile będzie funtów soli za 21 groszy, trzeba wiedzieć ile razy 3 mieści się w 21. Patrzcież teraz, co ja robię. (Bierze węgiel z pieca i robi dzielenie na białej ścianie). Co ja robię?

GRZEŚ.

Aha. Dzielisz 21 na 3 części, to będzie siedem. To on kupił za 21 groszy aż 7 funtów soli?

WICEK.

Mądryś Grzesiu. No to teraz może dojdziecie sami ile funtów soli było za 36 groszy, a ile za 45.

STEFEK.

To już trudniej, bo to tak dużo.

WICEK.

Poczekajcie, zobaczycie, że to nic trudnego. (Idzie do stołu, odsuwa szufladę i wyjmuje stamtąd garść fasoli). No odlicz, Zośka, trzydzieści sześć ziarenek.

ZOŚKA (liczy).

Raz, dwa, trzy i t. d.

JÓZEK.

Wicek to lepiej tłumaczy od naszej pani, więcej go rozumiem.

WICEK.

Bo ty Józek w szkole zbytkujesz i nie uważasz, a teraz strach.

ZOŚKA.

Już policzyłam fasolę.

WICEK.

A teraz Stefek niech rozdzieli na 3 części równiśko, to i będziecie wiedzieli.

(Stefek dzieli po jednym ziarnku, dzieci przyglądają się).

WICEK.

A teraz Genia licz ile masz i Zośka też, i Józek.

ZOŚKA.

Ja mam dwanaście.

GENIA.

I ja dwanaście.

JÓZEK.

I ja dwanaście.

WICEK.

A ile było razem, pamiętacie?

ZOŚKA.

36.

WICEK.

To ile kupisz soli za 36 groszy?

STEFEK,

Ma się rozumieć, że trzy funty.

WICEK.

I znowu nie pomyślałeś Stefku, przecie trzeba wiedzieć, ile razy 3 mieści się w 36-u.

JÓZEK.

Ja wiem — 12, i za 36 groszy kupię 12 funtów soli.

WICEK.

No, kiedyś to zrozumiał, to idźcież teraz i do-
chodźcie sami, ile kupicie za 45 groszy. Bo i ja się
muszę uczyć.

JÓZEK.

A tę fasolę możemy zabrać?

WICEK.

Możecie.

DZIECI.

Dziękujemy ci Wicku, już chyba nas pani po-
chwali, że rozumiemy to zadanie.

(Wychodzą).

Scena VII.

WICEK (sam siedzi i czyta ze skupieniem pocichu, po chwili
Olek wpada i otwierając drzwi woła).

OLEK.

Ach Wicku, poradź mi, bo nic zrobić nie mogę

WICEK (wstaje).

Nic ci nie poradzę. Wczoraj prosiłem cię, byś
kociaka nie męczył, chciałem byś mi go darował,
a ty coś z nim zrobił?

OLEK.

O wielka rzecz, ślepy był jeszcze, utopiłem go.

WICEK.

Zamęczyłeś biedne stworzenie, niechcę ci nic pomagać, idź sobie.

OLEK.

Wicku, nie gniewaj się, pomóż tylko jeden raz, już nigdy tego robić nie będę.

WICEK.

Nie chcę, nie mam czasu. (Odwraca się).

OLEK. (Płacząc).

Kiedy ja tego zrobić nie umiem, pani będzie się gniewać, a ojczym mnie zbijom. Już i tak mam trzy razy zapisane pałki, Wicusieczku zlituj się, pomóż mnie.

WICEK.

O cóż ci chodzi?

OLEK.

Kiedy nie wiem jak napisać to ćwiczenie. Pani kazała opisać jak wiosna przychodzi, a ja nie wiem. Wicusieczku, żebyś ty mnie napisał.

WICEK.

To nie będzie twoja, tylko moja robota.

OLEK.

A ja przepiszę, pani nie będzie wiedzieć.

WICEK.

Ale ty i ja będziemy zawsze kłamcami, a ja nie chcę kłamać. Musisz sam to zrobić.

OLEK.

Ja tego nie umiem i nie potrafię.

WICEK.

To ja ciebie nauczę. Chodź pójdziemy na dwór, to tam ci pokażę i poradzę, a pisać musisz sam.

(Wychodzą. — Scena chwilę pusta).

Scena VIII.

(Wchodzi Małgorzata),

MAŁGORZATA.

Wicku, Wicku, Krasula wraca z pola, idź ją na-ka
pój i zamknij w chlewie, ja tam zaraz.. (spozstrzega że ch
w izbie niema nikogo). A to co? Wicku, Wicku, gdzie-
żeś ty. Chyba wyjść z chaty nie mógł, kiedy drzwi
nie zamknięte. Gdzieżby był. Wicku! A to co? fasola
moja nasienna rozsypana po izbie. Gwałtu ratujcie że
złodzieje tu byli chyba, a dyć że zostawiłam w stoli-
ku woreczek z pieniędzmi, oni chyba wzięli. (Biegnięni
do stolika i otwiera szufladę). Święty Antoni, niech bęw
dzie twoje imię pochwalone, jest, jest, ale fasoli to
wzięto i sporo, a rozsypana. Może jeszcze co zginęło.
(rozgląda się po izbie, spozstrzega, że pod ręcznikiem na pół-
ce niema chleba). I to zabrano, pół bochenka chleba
gwałtu! złodziej tu był. Ratunku!...

Scena IX.

MAŁGORZATA i MARCYSIA.

MARCYSIA. (Wchodząc).

A cóż tak lamentujecie. Co się stało?

MAŁGORZATA.

A toż patrzcie, złodziej tu jakiś był ani chybi.

MARCYSIA.

Okradli was?

MAŁGORZATA.

A jakżeż nie. Fasolę moją nasienną, czyścusięńką zabrano i rozsypano po izbie. Pół bochenka chleba wzięto.

MARCYSIA.

No to jeszcze nic tak wielkiego nie zrobiono, żeby aż tak lamentować. Fasoli, to jeszcze się u was znajdzie, a chleba to też nie braknie. Byle nic innego nie wzięto. Ale co to tak na ścianie popisano węglem.

MAŁGORZATA. (Łamiąc ręce).

Na mojej bieluńskiej ścianie. Któżby to miał zrobić? O ja nieszczęśliwa. Ani nosa z chałupy niewysuń, bo zaraz ci coś zmaluje.

MARCYSIA.

A niby kto?

MAŁGORZATA.

To już ani chybi Wicka robota.

MARCYSIA.

No to się i wie, toć go cała wieś Niecnota zwie, to jakżeby i czego nie zmalował.

MAŁGORZATA.

A wam co do niego. Widzicie ją, Niecnota, niecnota, a wasz Olek, to już święty, a jabym za tego świętego Wicka nie oddała. Co on wam wszystkim zrobił. Co? mówcież raz.

MARCYSIA.

A wy czego na mnie wsiedli, patrzcie ją, jaka to pani, dziedziczka, na Wickowym fartuchu siedzi, to już nic nie wolno powiedzieć.

MAŁGORZATA.

A żebyś ty wiedziała raz na zawsze, że nie wolno; jak kto na niego ośmieli się co powiedzieć to niech tu progę nie przestąpi.

MARCYSIA.

Oj jej jaki to honor. (Zawraca się ku drzwiom, w tej że chwili otwiera je szeroko Wicek i zwrócony do głębokiej sieni woła).

WICEK.

A pamiętaj sobie Olek, coś mi obiecał, bo jak nie dotrzymasz słowa, to już i rodzona matka cię nie pozna, tak cię zamaluję.

MARCYSIA. (Rzucając się na Wicka).

A ty niecnoto jeden! śmiesz memu Olkowi grozić. Ja cię tu zamaluję pierwsza. (Trzęsie go za ramiona i chce uderzyć.)

WICEK. (Odsuwa ją na bok i wskakuje do izby).

To już moja sprawa z Olkiem i poradzę z nim jeśli przysięgi nie dotrzyma.

MARCYSIA. (Zła, rozwścieczona chce wbiec za nim do izby, ale Małgorzata ją zatrzymuje).

MAŁGORZATA.

Upamiętajcie się Marcysiu, że chłopcy tam co-siek ze sobą poplotą, to już wielka rzecz. Nie tknął go przecie i palcem, a wy zaraz do oczu. — Idźcie z Bogiem.

MARCYSIA.

Jeszcze by tego nie stawało, by go bić miał, niecnota ten, ja bym mu dopiero pokazała co to gospodarskie dziecko zaczepić.

WICEK.

A ha Olek to gospodarskie dziecko, ale ja sam gospodarz, to zawsze jestem od niego ważniejszy.

MARCYSIA.

Niecnota jesteś, a nie gospodarz.

(Wychodzi trzaskając drzwiami.)

Scena X.

MAŁGORZATA I WICEK.

MAŁGORZATA.

Oj Wicku, Wicku, jakież to wstyd z tobą, jakie poniżenie.

WICEK.

Wstyd ciotko macie zemnie i poniżenie! — a powiedzcież jakie. Czy ja wam ubliżam? czy się źle uczę? czy komu szkodę robię? czy cudze kiedy co ruszam?

MAŁGORZATA. (Siada i kiwając głową mówi).

Nie widzi Bóg, że nigdy nic złego nie zrobiłeś, a jednak ciebie jednego cała wieś wyzywa od niecnoty.

WICEK.

Wielka rzecz, każdy ma jakieś przezwisko, to i mnie takie dano, co robić ciotuchno. Będę się tak podpisywał niby jaki stary szlachcic: Wincenty Żaliński na przezwisko Niecnota, to będzie bardzo wspólniale.

MAŁGORZATA.

E ciebie się jeszcze żarty trzymają. — Ale powiedz mi lepiej, kto tu był?

WICEK.

Tu, kiedy?

MAŁGORZATA.

No jak poszłam na nieszpor, rzuciłeś tak chałupę, a tu złodziej był jakiś.

WICEK.

Złodziej? nie może być. Ja tylko na minutkę, przed waszem przyjściem wyszedłem do ogrodu, i widziałem jakieście weszli do izby. A potem Marcysia. Przecie nic nie zginęło.

MAŁGORZATA.

Ale fasolę nasienną com ją w szufladzie scho wała, ktoś nadebrał i po chałupie rozsypał.

WICEK.

Fasolę mówicie? no to ja trochę wziąłem bo mi potrzebne było do rachunków.

MAŁGORZATA.

Do rachunków fasola, Wicku co ty pleciesz. A patrzaj, kto tę scianę tak mi węglem posmarował.

WICEK. (Pokornie).

To ja ciotko to zrobiłem. Ni jak nie mogłem sobie z rachunkami poradzić, to tak jak na tablicy w szkole. Darujcie.

MAŁGORZATA. (Chodząc po izbie.)

Mam ci wszystko darować, że ty mojej, krwawej pracy nie uszanujesz, że co ja tylko sporządzuję, zrobię, do ładu doprowadzę, to ty wszystko zniszczysz. I dziw, że cię ludzie niecotą przewali.

WICEK. (Łagodnie.)

Nie gniewajcie się ciotko, ot głupstwo zrobiłem nie myślący.

MAŁGORZATA.

Ty wszystko robisz nie myślący. A gdzie chleb co był na półce pod ręcznikiem.

WICEK.

Niema go już.

MAŁGORZATA.

Wicku mów prawdę, kto go wziął.

WICEK.

Ja, głodny byłem to i zjadłem.

MAŁGORZATA.

Nie prawda, pół bochenka chleba byś nie zjadł (zagląda do miski). A tu kto jadł kluski?

WICEK.

Ja.

MAŁGORZATA.

Mówże raz, kogoś tu przyjmował?

WICEK.

Oddałem wszystko Bobkowej.

MAŁGORZATA.

Bobkowej? tej żebracze, tej dziadówce. I chleb i kluski, a co nam będzie na wieczerzę?

WICEK.

Krasula do mleka, a chleb jest w komorze.

MAŁGORZATA.

Widzicie go, jest chleb w komorze. A wiesz ty, że jak tak zaczniesz wszystkich dziadów obdzielać to sam z głodu zamrzesz.

WICEK.

Ciotko, ciotko, nie płaczcie, stanie nam i dziadom. (Podchodzi do niej, bierze ją wpół i sadza gwałtem na ławie, potem opiera głowę na jej ramieniu i mówi).

Ciotko, posłuchajcie tylko, jaż sierota, ojca mi zabili na wojnie, a matki tom wcale i nie miał. Bobkowa, biedna, stara, matuchnę moję znała, przychodziła do niej nieraz nie dwa, i matuś dawali jej i chleb i strawę i przyodziewek, i ot ona dziś tu przysłała i głodna była i zmęczona i o mojej matce mówić poczęła. A mnie się zdało, że ją moja nieboszczka przysłała, żebym ją opatrzył i nie dał jej stąd iść głodnej, starej.

MAŁGORZATA (rozczulona).

I dobrześ zrobił Wicku, naprawdę dobrze, a wreszcie ty tu gospodarz, to wszystko twoje, twój chleb i twoja wola.

WICEK.

I wasza też, boście mnie sierotę przygarnęli jak swoje dziecko i o wszystko staracie się i zabiegacie, jakbyście mi rodzoną byli. Ojcowa to chata i grunt, a waszą pracą stoi wszystko. Tylko już nie gniewajcie się jak dam komu biednemu kawał chleba. Użalcie się i nad mojem sieroctwem. Żebyście wiedzieli jak mnie nieraz cosik w duszy woła:

MAŁGORZATA.

Woła, mówisz a co woła i kto?

WICEK.

Ojce widno: — Wicek a zrób to, a daj tamtemu, a pomóż, a poradź, — a jak nie posłucham, to tak mnie potem boli, jakby żelazem kto piekł.

MAŁGORZATA.

Boże Wszechmogący, sieroto mój ty biedny, a toż ani chybi duszyczki ojców twoich to ci każą. Pewnikiem do zbawienia im to potrzebne, a może nad swoim chłopcem taką opiekę majom.

WICEK.

No to już się na swego Niecnotę nie gniewajcie (tuli się do ciotki).

Zasłona spada.

II-ga ODSŁONA.

Sala szkolna, na podwyższeniu stół nauczycielki, na nim książki, zeszyty, przy stole krzesło. Na sali ławki. Na ścianie głównej, obraz Matki Boskiej, na innych mapa Polski, obrazy przyrodnicze. Na oknach doniczki kwiatów.

Scena I.

Nauczycielka wchodzi z bocznych drzwi na lewo, za nią idzie kilka kobiet, Małgorzata i paru gospodarzy.

NAUCZYCIELKA (stojąc przy swym stole).

Tak, bardzo słusznie, żeście dziś przyszli, bo każdy ojciec i matka powinien wiedzieć jak się uczy i postępuje jego dziecko. (Zwracając się do Małgorzaty) Przykro mi, że wam muszę złą rzecz powiedzieć o Wicku. Pilny i pracowity poprzednio, teraz zaczyna się opuszczać. Już parę razy lekcji zadanej nie nauczył się, to com mu dała do napisania, bardzo nie-dbale zrobił. Jako jego opiekunka powinniście pilnować by tego nadal nie było.

MAŁGORZATA.

Oj, żeby ja to mogła tak do niego przemówić, to bym pewno jemu nie przepuściła, ale coż ja sama nie uczona, to czy on mnie usłucha? Żeby tak pania już lepiej to sama zrobiła.

NAUCZYCIELKA.

Naturalnie, że mu pokażę jego błędy i będę wymagała od niego większej pilności, ale i wy musicie o tem pomyśleć. Szkoda chłopca by się zmarnował. A ot za to Olek Kowdziej, o wiele się poprawił. Już i rachunki dobrze robi, i to com mu dała do napisania, to naprawdę napisał lepiej od innych chłopców. Może się matka nim ucieszyć.

MARCYSIA.

A bo mój Olek, to bardzo chętny do nauki i on poprawdzie powiedziawszy to swoją szkołę i panią uczycielkę bardzo kocha. No i mój go krótko trzyma.

I-szy GOSPODARZ.

To się wie, że taki chłopiec co ma ojca i matkę, to zawdy będzie i posłuszniejszy i pracowitszy, jak ten co ma tylko własną wolę, nie przymierzając jak Wicek.

MARCYSIA.

To też takiego się wszelkie zbytki trzymają, a nie nauka.

(Małgorzata wysuwa się cicho ze szkoły).

Scena II.

WSZYSCY i SURÓWKA.

SURÓWKA (wchodzi z hałasem do szkoły). Trzyma w ręku sieci na ryby).

Już za dużo sobie taki łobuz pozwala, pani nauczycielka może choć raz po sprawiedliwości osądzi. Proszę zobaczyć, co ten Wicek · Niecnota zrobił. (Pokazuje sieć nauczycielce).

NAUCZYCIELKA.

Cóż tu się stało, o co tego chłopca oskarżacie Surówko?

SURÓWKA.

Jak to o co, niby pani nauczycielka tego nie widzi. A toż sieć przecięta nożykiem.

NAUCZYCIELKA.

To widzę, ale to żaden dowód, iż to zrobił Wicek. Zresztą może same oczka się przerwały.

(Gospodarze i gospodynie podchodzą bliżej, otaczają Surówkę i oglądają się).

I-szy GOSPODARZ.

Ani chybi przecięto.

I-sza GOSPODYNI.

Równióska cztery, nie nie, sześć oczek przeciętych.

MARYSIA.

I szczupak by się tędy wydobył.

SURÓWKA.

A toć, że i wydobył się a nie jeden, tylko trzy
ot takie piękne sztuki. (Pokazuje jakie duże były ryby).

2-gi GOSPODARZ.

A gdzieżeście taki połów mieli?

SURÓWKA (z gniewem).

Gdzie, to nic do rzeczy, tu insza sprawa, że mi
ten Niecnota sieć zniszczył.

NAUCZYCIELKA.

Nic nie rozumiem co tu Wicek zawinił. Dlaczego
go oskarżacie go o tę szkodę.

SURÓWKA (ze złością).

A oskarżam i domagam się kary, bo takie rze-
czy, to darmo przejść nie powinny. Ja dowód mam
w ręku, jasny dowód.

NAUCZYCIELKA.

Powiedzcie jaki.

(Gospodarze i gospodynie szepcą między sobą i kiwają głó-
wami).

SURÓWKA.

Óczywisty dowód. To widzicie, tak było. Poszedłem o świtaniu zobaczyć do sieci, które wieczór zastawiłem czy aby mi jaka ryba nie wlaźła. No i zobaczyłem, że było aż trzy piękne szczupaki, no i drobiazgu coś niecoś.

2-gi GOSPODARZ (z uśmiechem).

A gadajcież, gdzie to taką rybę złapać można?

SURÓWKA (zawsze z gniewem).

Nie łapałem u ciebie to ci nic do tego.

(Wszyscy, prócz nauczycielki śmieją się).

SURÓWKA.

Tak, ot widzi pani nauczycielka, ja ryby obejrzał i zostawił ich jeszcze trochę w sieci, bo mnie jeszcze co innego trzeba było zrobić. Przez jaką godzinkę wracam, widzę sieć przzerwana, ryb niema, ale dowód gałgan zostawił. Ot że jest, można zobaczyć i poznać (podaje nauczycielce kartkę). Przywiązał szelma do sieci.

NAUCZYCIELKA (bierze kartkę i czyta głośno).

— Rybki kazały się Surówce kłaniać i przypomnieć mu 7-me przykazanie Boże.—

(Wszyscy wybuchają śmiechem).

I-sza GOSPODYNI.

A to ci Jaśku napisał, i ksiądz by lepiej nie powiedział.

2-ga GOSPODYNI.

A może to i ksiądz, a bo kto inszy, bo skądby Wicek tak mądrze to złożył.

SURÓWKA.

Co się wy tu śmiejecie. Wicek to zrobił nikt inny. Niech bo pani nauczycielka powie, nie jegoż to pisanie?

NAUCZYCIELKA.

Przecie czytać nie umiesz. Skądże więc wiesz, że to Wicek pisał?

SURÓWKA.

A to się sam wygadał. Przed godziną idę podle ich chałupy, a on konie poi i głośno woła:—Ukłony rybki szlom,—no to jakby nie on pisał, to by tego nie mógł mówić.

MARCYSIA.

A to Niecnota chłopak! (Wychodzi).

Scena III.

(WSZYSCY bez MARCYSI, po chwili Walentowa wpada z hałasem).

SURÓWKA.

Ja proszę, żeby go pani uczycielka srogo ukarała.

WALENTOWA (wpada z hałasem).

A dyć, że już to chyba za wiele, żeby taki smar-
kul z przeproszeniem, nikogo nie szanował, żadnego
uważenia dla starszych nie miał.

NAUCZYCIELKA.

Co się stało? Uspokójcie się Walentowa.

1-szy GOSPODARZ.

To tak łatwo nie pójdzie.

2 gi GOSPODARZ.

A tak, jak się tama oberwie, ani rusz wody pow-
strzymać, tak i Walentowej jak się rozkrzyczy.

WALENTOWA (krzyczy).

Jeżeli uczycielka uczy dzieci, to powinna ich
dobrze uczyć, a jak zasługują to i karać, bo taka
szkoła w której nijakiej kary niema, to się psu na
budę nie zda, bo tylko nam łobuzów i rozbojników
chować będzie.

SURÓWKA.

Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie. Szkoła po-
winna łobuzów karać.

NAUCZYCIELKA.

Nie wiem kogo to źle szkoła tak chowa i kogo
mam karać?

WALENTOWA.

A kogóż? jak nie tego Wicka Niecnotę. On już się tak rozpuścił, taki mędrała, że nikogo nad niego niema we wsi.

NAUCZYCIELKA.

Znowu Wicek? i cóż on wam zrobił?

WALENTOWA.

A niech no panienska spojrzy. Co on mi na grzbiet wsadził. (Odwraca się plecami do nauczycielki wszystkich).

(Ogólny wybuch śmiechu).

I szy GOSPODARZ.

A to zuch chłopak, powiesił wam Walentowa czerwony ozór na plecach.

II-gi GOSPODARZ.

No, co znowu tak wielkiego, musieliście kumo, po swojemu pyskować, a ktosić wam to powiesił, a wy zaraz na Wicka.

WALENTOWA.

Ja tam nie pyskuję po próżnicy, tylko jak komu mam co wygarnąć, to wygarne, bo tak być powinno.

I-sza GOSPODYNI.

Toćże nie gniewajcie się i na Wicka, jak on wam to przypiął.

NAUCZYCIELKA.

I tak zaraz wszystkiego na niego nie składajcie, bo może rzeczywiście kto inny to zrobił.

WALENTOWA (stukając pięścią w pulpit).

Nikt inny, tylko ten Niecnota. Dziś rano przy-
czepił mi to paskudztwo, widziała to Hanka Micha-
likowa.

2-ga GOSPODYNI.

Jeszcze na ranku? i wyście tak z tym jęzorem,
całe przedpołudnie spacerowali? (Śmieje się).

WALENTOWA.

A nie inaczej. I za to, że mnie na takie po-
śmiewisko wystawił ten łobuz, to jeszcze żadnej spra-
wiedliwości doprosić się nie można, bo taka to
i szkoła.

(Słychać głośny krzyk i płacz za drzwiami).

Scena IV.

WSZYSCY i MARCYSIA z OLKIEM.

(Olek wchodzi głośno płacząc, krew mu płynie z nosa, Marcysia obciera go chustką).

MARCYSIA (lamentując).

Chłopca mi pobił, pokrwawił, odzienie mu podarł ten Niecnota niegodny, do sądu go podam, w kryminale niech gnije.

WALENTOWA (podbiegając do Marcysi).

Ani chybi Wicka sprawka nowa. No, czy i teraz nic mu nie będzie?

NAUCZYCIELKA (podchodzi do Olka).

Kto cię bił i za co? mów.

OLEK (płacząc).

A Wicek, ja mu nic nie zrobił, a on mnie na ziemię rzucił, pokrwawił i jeszcze spodnie podarł.

MARCYSIA.

A jakże, na taką drożyznę nowiusieńkie spodnie chłopcu podarł. Widzicie. (Pokazuje podarte spodnie Olka).

NAUCZYCIELKA.

Czyście się ze sobą kłócili, coś mu zrobił?

OLEK (wciąż płacząc).

Ja mu nic nie zrobił, ja sobie szedł spokojnie, a on na mnie napadł.

NAUCZYCIELKA.

Coś mi się widzi, że musiało być inaczej, Wicek nigdy nikomu krzywdy nie robi, a o tobie Olku wiem, że nie zawsze mówisz prawdę.

WALENTOWA.

A co? ot i widzicie jaka w szkole sprawiedliwość. Wicek nikomu krzywdy nie robi. A mnie co zrobił?

MARCYSIA.

A już moje dziecko to ma być najgorsze.

SURÓWKA.

A moje sieci kto przeciął?

NAUCZYCIELKA.

Wszyscy napadacie na Wicka, trzeba więc i jego wysłuchać, poślę po niego by tu przyszedł i wytłumaczył się.

WALENTOWA.

I karę mu powinna szkoła dać, niech wie co wolno.

NAUCZYCIELKA (zwracając się do stróża szkolnego).

Pójdźcie po Wicka, Małgorzatę i dzieci szkolne zwołajcie.

(Stróż wychodzi).

NAUCZYCIELKA.

Proszę wszystkich zostać w szkole, zobaczymy co nam winowajca powie. A ty Olku przestań już raz chlipać. Siądź spokojnie w ławce.

MARCYSIA (do Olka).

Chodź synku, już dość, nie płacz, cicho, zobaczysz, że mu tak wszystko na sucho nie ujdzie.

I-szy GOSPODARZ (do Walentowej).

A wy już swój piękny order raz zdejmijcie, dość chyba tej parady.

II gi GOSPODARZ.

To tak jakbyście na wojnie krzyż dostali.

I-sza GOSPODYNI.

Tylko, że żołnierz to nosi krzyż na piersiach, a Walentowej przyczepiono na grzbiecie.

WALENTOWA.

A bym ci czegoś lepszego nie wlepiła. (Marcysia odpina jej).

Scena V.

WSZYSCY i WICEK, MAŁGORZATA, STEFEK, OLEK,
JÓZEK, GENIA, ZOSIA.

(Wicek podchodzi do nauczycielki i kłania się jej grzecznie,
inne dzieci kłaniają się i siadają w ławkach).

WICEK.

Pani mi kazała przyjść?

NAUCZYCIELKA.

Tak i bardzo mi przykro, że musiałam to zrobić. Był czas Wicku, w którym stawiałam cię za wzór wszystkim dzieciom szkolnym. Teraz jednak dzieje się inaczej. Zadania twoje nie są tak porządnie odrabiane jak dawniejsze. Lekcji często nie umiesz, opuszczasz się w naukach, ale co gorsze dokuczasz innym. Dziś pełno mam skarg na ciebie. Powiedz co ci się stało, skąd taka zmiana?

WICEK (milczy).

WALENTOWA.

Co ma gadać, w szkole to cichutki...

NAUCZYCIELKA (przerywając).

Proszę by tu nikt głosu nie zabierał nie pytany.

(Walentowa chce coś mówić, inne kobiety wstrzymują ją).

NAUCZYCIELKA (do Wicka).

Tu leży sieć Surówki, czyś to ty ją przeciął?

WICEK (spokojnie).

Ja.

NAUCZYCIELKA.

A dlaczegoś to zrobił?

WICEK (jak wyżej).

Surówka to dobrze wie, pocóż mam tłumaczyć.

NAUCZYCIELKA.

Powinieneś powiedzieć dlaczegoś zepsuł cudzą własność. Powiedz.

WICEK (potrząsa głową milcząco).

NAUCZYCIELKA.

Moje dziecko, powiększasz tem milczeniem tylko swą winę. A teraz powiedz mi, czyś to ty zawiesił Walentowej czerwony język na plecach.

WICEK (spokojnie).

Ja.

NAUCZYCIELKA.

Brzydko to bardzo Wicku, że tak starszych nie szanujesz. Walentowa gospodyni poważna, a tyś jesz-

cze dziecko i żartujesz z niej, jakby była twoją koleżanką. Powinieneś ją przeprosić.

WICEK (poruszony).

Proszę pani, Walentowej przeproszać nie będę. Ja tego z żartu nie zrobiłem, oni wiedzą za co.

WALENTOWA.

Widzicie go, jaki pyszny, niczem rabin w Wołoszynie, on przeproszać nie będzie. A wiedz ty smyku, Niecnoto obrzydły, że ja się przeprosić nie dam. Ja sprawiedliwości żądam.

NAUCZYCIELKA.

Proszę was Walentowo o spokój. A ty Wicku nie bądź upartym i pamiętaj, że każdą winę można zmazać serdecznem przyznaniem się i przeproszeniem. Powiedz-że nam, za coś zbił Olka?

WICEK.

Jam go nie bił wcale...

OLEK (przerywając).

Nieprawda, nieprawda, on łże proszę pani, on łże proszę pani, on mnie na ziemię rzucił, nogami bił.

MARCYSIA (z krzykiem).

Dziecko moje skaleczył, pokrwawił, spodnie mu podał.

NAUCZYCIELKA.

Proszę o spokój.

MAŁGORZATA (chlipiąc).

Boże, Boże, coś ty Wicku narobił.

WICEK.

Ołka nie biłem. Nie uderzyłem go ani razu.

OLEK.

Żeby ja skroś ziemię poszedł, kiedy to nieprawda, że on mnie na ziemię rzucił.

MARCYSIA.

A widzicie moi ludzie, jak to się jeszcze zapiera, i spodnie mu podarł i pokrwawił go i jeszcze łże, ot Niecnota.

NAUCZYCIELKA.

Bardzo mnie to wszystko martwi. Spodziewałam się Wicku, że będziesz ozdobą mojej szkoły, a tymczasem... Sama nie wiem co mam począć. Muszę chyba z tego wszystkiego coś zrobić, spisać protokół i przesłać panu inspektorowi, niech on zadecyduje, czy mogę cię nadal zatrzymać w szkole, czy też musisz być usunięty. Proszę o ciszę i spokój.

(Bierze arkusz papieru, kładzie go na pulpicie i zabiera się do pisania. Ogólne poruszenie, Małgorzata chlipie, starsi gospodarze szepcą coś ze sobą. Surówka, Walentowa i Marcysia w drugim kącie cicho rozmawiają, pokazując wciąż na Wicka, który stoi oparty o ławkę.)

(Dzieci w ławkach skupione wysuwają się i podchodzą do nauczycielki).

STEFEK.

Proszę pani...

GENIA.

Może pani pozwoli...

NAUCZYCIELKA.

Czego chcecie moje dzieci?

ZOŚKA (wysuwając się naprzód).

Proszę pani... Stefek, mówże ty.

STEFEK.

Lepiej niech to Grześ powie.

NAUCZYCIELKA.

Mówcież o co wam chodzi, bo nie mam czasu.
No Julciu, ty mów. (Przyciąga dziewczynkę do siebie).

JULCIA.

Proszę pani, niech Wicka pani nie wygania ze szkoły, bo on bardzo dobry.

GENIA.

Jak on pójdzie, to kto nas będzie uczył?

NAUCZYCIELKA.

Jakto kto was będzie uczył, przecie ja was uczę.

GRZEŚ.

No tak, tylko jak my czego nie rozumiemy, to on nam i pokaże, i wytłumaczy, i nauczy.

JULKA.

A jak niema tablicy, to i na ścianie napisze rachunki i wszystko wyłoży.

MAŁGORZATA.

Aha, to ty dla nich tę ścianę posmarowałeś?

GENIA.

Albo i fasolę weźmie i póty pokazuje, aż i nauczy.

NAUCZYCIELKA.

Nie rozumiem, co wy opowiadacie.

STEFEK.

Proszę pani, Wicek bardzo dobry i dużo więcej od nas umie, to jak komu z nas trudniej nauka przychodzi, to idzie do niego, a on zawsze nauczy.

JÓZEK.

I Olka on uczył nie raz i nie dwa, ot i to ćwiczenie, co to pani tak chwaliła, to...

MARCYSIA.

Łżesz, bo Olek sam pisał, do przysięgi pójdę że on sam.

NAUCZYCIELKA.

Proszę was, w szkole nie wolno krzyżeć i wymyślać. Wicku, czyś ty pisał ćwiczenie Olka?

WICEK.

Nie proszę pani, Olek je sam napisał

JÓZEK.

Tak Olek napisał sam w kajecie, aleś ty mu naprawił i wszyściutko wytłumaczył i pokazał jak pisać, a potem to i omyłki poprawił.

NAUCZYCIELKA.

Czy tak było Wicku?

WICEK. (cicho)

Tak, proszę pani,

JÓZEK.

A ja jeszcze powiem co to było z Olkiem. Wicek mu nie chciał pomagać, za to, że on męczy zwierzęta i ptaszki z gniazd wyjmuję i Olek przysiągł, że tego więcej robić nie będzie.

STEFEK.

A Wicek mu zapowiedział, że jeśli zobaczy, że jakie gniazdko niszczy, to go zbije...

MARCYSIA (przerywając).

A widzicie i jam to na własne uszy słyszała.

JÓZEK.

Ale Wicek go nie zbił, tylko jak on dziś laź na drzewo, żeby tam gniazdko wybrać, a Wicek to zobaczył, to mu kazał zejść i zagroził, że go zbije. Olek nie posłuchał i dalej laź, a gałąź się ułamała i on spadł i spodnie sobie rozerwał, ot jak to było. I jeszcze jednego ptaszka, co go miał za pazuchą zadusił.

1-szy GOSPODARZ.

Szkoda, że mu czego nie przyłożył Wicek, oto wisus, źle robi i łże w dodatku.

NAUCZYCIELKA.

Całe więc twoje opowiadanie Olku kłamstwem było, dobrego, uczynnego kolegę oskarżałeś, za to że ci nie pozwalał mordować biednych ptaszyn. — Wstydy ci chłopcze i nam wszystkim wstyd, że cię mamy w szkole.

JĘDREK.

Może pani nauczycielka i gospodarze pozwolą, żeby, i ja coś powiedział.

NAUCZYCIELKA.

Mów.

JĘDREK.

Dzisiejszej nocy, tośmy pilnowali koni, na wygonie podłe stawu Rutockiego.

II-gi GOSPODARZ.

Aha, już zgadłem.

JĘDREK.

My sobie w krzakach leżym, noc jasna, a tu widzim, jak ktosik cichuśko skrada się do stawu. Wicek mnie w bok trącił, widzisz, mówi, ktoś na rybki poluje. A no, mówię, widzę. A Wicek mówi, a toż cudze, my na to pozwolić nie mozem, bo tak to będzie, jakby my mu pomagali. Ja i sam nie wiedział, co i gadać, a tu patrzym, ten sieci obejrzał, aż zaśpiewał z radości, a potem pobiegł do lasku i zaraz słyszym, jak on drzewo ścina. A Wicek znowu. Nie, tak być nie może, on i las cudzy pustoszy, i ryby łapie, toż wstyd dla nas wszystkich.—A ja mu: A co ty zrobisz, nie pójdziesz gajowemu donosić? A Wicek się zaśmiał, cosik na papierku napisał i mówi: Ja go sam nauczę, a taki nie dopuszczę, by w Stachach byli złodzieje. Po co nam szkoła i nauka, jak my będziemy żyć jak zbóje. No i poszedł i ryby wypuścił; i może tam jakie oczko przeciął.

I-szy GOSPODARZ.

Święta prawda, a co dalej?

JĘDREK.

A no już nic. My znowu w krzaki wleźli, a tu

patrzamy, idzie Surówka z lasku i brzozkę niesie.
(Surówka wybiega ze szkoły. Wszyscy w śmiech).

JĘDREK.

Ot widzicie, że prawda, kiedy tak uciekł. A kłął,
jak zobaczył pustą sieć. A ja się bał, żeby Boże broń
nie dojrzał nas, bo by pewno siekierą walił, taki był
wściekły.

NAUCZYCIELKA.

Wicku, więc to tak było?

WICEK (cicho).

Tak, proszę pani.

NAUCZYCIELKA.

No to już dwie sprawy umorzone. Bardzo wam
Józku i Jędrku dziękuję za to, coście nam tu opo-
wiedzieli.

Scena VI.

WSZYSCY i CHAIMEK, a za nim BOBKOWA.

CHAIMEK. (Wbiega szybko i zostawia za sobą drzwi otwarte).

CHAIMEK.

Pani nauczycielka, pani nauczycielka, niech nie
wyrzuca Wicka, un najlepszy ze wszystkich, un ma
serce miłosierne i un potrzebuje wszystkim pomagać.

NAUCZYCIELKA.

Co chcesz Chaimku?

CHAIMEK.

Ja jestem tylko biedny żydek, sierota, moja matka targuje bułkami, u nas w chałupie pięcioro dzieci małych. Ja bardzo chciał się uczyć, a ja nie mógł iść do szkoły, bo choć mnie nauczycielka w Siolkach zapisała i przyjęła, to ja nie miał kurtki.

MAŁGORZATA.

A dyć że ty masz kurtkę Wickową na sobie?

WALENTOWA.

A tamten bajki gadał, że kurtkę jemu krasnoludki wzięli, cyganił ciotkę.

CHAIMEK.

Ja nie miał tej kurtki, tylko starą watówkę, to moje matki mnie mówi, idź synku, ty potrzebujesz się uczyć, a jak ja bułek nasprzedaję, to ja ci nową kupię. I ja poszedł do szkoły, ale mnie stamtąd wyrzucili, bo moja watówka była śmierdząca, a ja innej nie miał. I ja siadł w lesie i płakał. A Wicek mnie tam zobaczył i powiedział, co ja nie potrzebuje płakać, tylko mam iść do szkoły i on mnie swoją kurtkę da. I ot co on zrobił! I teraz jego ze szkoły wyrzucić to nie wolno.

BOBKOWA (która przed chwilą weszła do szkoły).

I ja, stara żebraczka, proszę panią posłuchać. Wicek dobre i sprawiedliwe dziecko. Nie za to, że mnie starą przytulił i nakarmił w swej chałupie, ale za to, że każdemu pomoże i dla nikogo ani chleba, ani swej pracy nie żałuje. Tydzień siedzę w Stachach, i patrzę, że takiego drugiego tutaj niema. Kubek, kubek jak nieboszczka jego matka. A, że wam Walentowo wsadził na grzbiet czerwony ozor, toć, że poprawdzie na niego zarobiliście.

WALENTOWA.

A cóż to dziadówki tu sądzić ludzi majom.

BOBKOWA.

Obmówiliście wszystkich dokoła, a jak zaczęliście jego ciotkę, ot tę Małgorzatę, to chłopiec i niezdzierzał. Słyszałam i ja wasze gadanie.

NAUCZYCIELKA.

Teraz już poznaliśmy wszystkie sprawy Wicka, pisać nie potrzebuję o tem do pana inspektora. Proszę wszystkich gospodarzy i panie gospodynie o osądzenie oskarżonego. Rozumiem teraz dlaczego Wicek zaniedbał się sam w naukach. Jako dobry kolega pomagał innym a sam nie miał czasu na odrabianie swych lekcji.

CHAIMEK (pokazując na Bobkowę).

A ot uni majom moję watówkę, tą śmierdzącą.

BOBKOWA (grożąc kijem Chaimkowi).

A tobie co do mnie, to nie twoja watówka, to Wickowa, on mi ją dał, a nie ty żydzie.

CHAIMEK.

No tak, niech się godna osoba, nie obraża, un dał bo była jego, un się ze mną pomieniał. Ot i wszystkie osoby mogą poświadczyć, czy ja w takiej brudnej odzieży, mógł chodzić do szkoły? A teraz to ja mam kurtkę z łaski Witka co się nazywa.

1-szy GOSPODARZ.

Tu niema żadnego gadania. Wicek jest porządny i uczciwy chłopiec, ani jemu krzywdy robić nie można, ani żadnego przezwiska dawać niegodnie.

2-gi GOSPODARZ.

Słuchaj Wicku Niecnoto, mam dwóch małych chłopców, daj mi Boże takiej z nich doczekać pociechy jaką by miał nieboszczyk twój ojciec, żeby żył.

WALENTOWA do MARCYSI.

Słyszycie, słyszycie co gadajom.

MARCYSIA.

At dziwota, bogaty, to mu wszystko wolno. Zeby tak Olek zrobił, toby dopiero był sekwers.

WALENTOWA.

Ha, jaka szkoła, taka i sprawiedliwość. Niema tu co robić, (zabiera się do wyjścia, Marcysia z Olkiem również),

1-szy GOSPODARZ.

Pewno, że tu niema nic do roboty ten co sam źle robi i jeszcze niewinnego oskarża. Idźcie, a daj Boże najdalej z łgarstwem i pyskowaniem. (Tamci wychodzą).

Scena VII.

(Wszyscy prócz Walentowej, Marcysi i Olka).

2-gi GOSPODARZ.

A ot co ja powiem. Wicek, co choć jeszcze młodzik, jednako jest gospodarzem w Stachach, jak i każdy z nas, on nam pierwszy pokazał co trzeba robić, żeby u nas było dobrze.

1-sza GOSPODYNI.

A co takiego?

2-gi GOSPODARZ.

A to, że powinniśmy jedni drugich przestrzegać, by nie było po wsiach złodziei, próżniaków żyjących rabunkiem cudzego dobra.

1-szy GOSPODARZ.

I ja wam daję rękę Janie i wiecie co. Należymy obaj do Rady Gminnej, przeprowadźmy uchwałę, że w Stachach nie ścierpimy żadnego złodzieja.

1-sza GOSPODYNI.

Cóż będzie z Surówką?

2-gi GOSPODARZ.

Będzie miał wóz i przewóz, albo uczciwe życie, albo fora stąd. (Wszyscy). Tak, tak. Dzieciak nam drogę wskazał, po której iść trzeba. Uczciwością i pracą.

NAUCZYCIELKA.

Cieszę się bardzo, że smutna na początku sprawa Wicka, tak się ślicznie kończy. — A wy dzieci co też sobie postanowicie na pamiątkę dzisiejszego dnia.

JÓZEK.

Będziemy pilnie uważali na lekcjach w szkole, by Wickowi potem nie przeszkadzać.

STEFEK.

Nikt z nas kłamać nie będzie.

ZOŚKA.

I cudzego nie poruszy nigdy.

GRZEŚ.

I nijakiego ptaszka, abo i zwierza dręczyć nie będzie.

GENIA (do Witka).

Ale jak będzie trudne zadanie, do ja do ciebie Witku przyjdę i ty pokażesz, znowu na fasoli.

WICEK.

Przyjdź, zawsze pokażę.

MAŁGORZATA.

Wypraszam sobie, że mi nasiennej fasoli nie ruszycie.

STEFEK.

A z Olkiem, to nie chcemy być kolegami, niech sobie idzie do innej szkoły.

WICEK.

Nie koledzy, tak się nie godzi, on jeden, a nas tyłu. Powinniśmy swoim wpływem, tak na niego oddziaływać, żeby się poprawił. To nasz obowiązek. Przyrzeknijmy sobie, że nikt go nie odepchnie, będziemy wspólnie pracowali w zgodzie i jedności. Czy zgoda?

WSZYSTKIE DZIECI.

Zgoda! zgoda! niech żyje nasz Wicek Niecnota!

MAŁGORZATA.

Co? znowu Niecnota?

WICEK.

A no już takie muszę mieć przewisko aż do końca.

NAUCZYCIELKA.

To ja zawołam inaczej. Niech żyje nasz kochany Wicek!

WSZYSCY.

Niech żyje.

Zasłona spada.

KONIEC.



D. 1252/34

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023399868

W BIBLIOTECZCE

„TEATRZYK WILEŃSKI”

ukazały się dotychczas:

	zł	gr
1. M. REUTTÓWNA. Trzeci Maj.	1.—	—
2. H. ROMER. Noc Świętojańska - Kopciuszek.	—	.40
3. M. REUTTÓWNA. Rabuś.	—	.30
4. „ „ Cudowny doktor.	—	.30
5. Z. MAŁOBĘDZKA. Tajemnica.	—	.30
6. M. REUTTÓWNA. Kłopoty Zosi.	—	.50
7. „ „ Janek i Jagusia.	—	.50
8. „ „ Św. Mikołaj.	—	.40
9. H. ROMER. Nasza Szopka.	—	.50
10. M. REUTTÓWNA. Trzewiczek Królowej.	—	.50
11. „ „ Król Chłopków.	—	.40
12. BONIFACY WRZOS. Królowna Krasawica.	—	.70
13. H. ROMER. Przygoda Młynarza.	—	.40
14. M. REUTTÓWNA. Wicek Niecnota.	—	.70
15. „ „ Król Migdałowy.	—	.40
16. „ „ W noc Czarów.	—	.30
17. BONIFACY WRZOS. Żelazny Wilk.	—	.80
18. „ „ Jagienka i Smok.	—	.90
19. M. REUTTÓWNA. Wyzwolenie Wilna.	1.—	—
20. „ „ Jak Bolko został rycerzem.	—	.60
21. M. REUTTÓWNA i BONIFACY WRZOS. W wielką rocznicę.	—	.80
22. M. REUTTÓWNA i BONIFACY WRZOS. Wanda.	—	.60
23. BONIFACY WRZOS. Garbuska.	1.—	—
24. H. ROMER. Rozbity garnek czyli czary w lesie.	—	.60
25. W. STANISŁAWSKA. Resurrecturi.	—	.60
26. M. REUTTÓWNA i BONIFACY WRZOS. 3-ci Maj.	—	.80

1422